

TRZY
minuty
dla życia

Stephan Michiels

TRZY
minuty
dla życia

Od hard rocka do Jezusa

Przełożyła Sylwia Filipowicz



Święty Wojciech
wydawnictwo

MOJA KSIĘGA RODZAJU

„Tato, chcę być
misjonarzem!”

Urodziliśmy się 10 czerwca 1966 roku, ja i mój młodszy brat: byliśmy bliźniakami! Niestety, on zmarł w wieku osiemnastu miesięcy.

Moi rodzice mieli bardzo duże problemy z wydaniem nas na świat. Przed nami mama dwukrotnie poroniła, a potem urodziła się dziewczynka. W dniu jej narodzin do sali szpitalnej weszła zakonnica, która na widok mojej siostry, Nadii, powiedziała do mamy: „To dziecko jest zbyt piękne, aby żyć. Rzekłbyś, że to anioł”. I wyszła. Trzy dni po narodzinach Nadia zmarła. Jej śmierć miała związek z jakimś problemem z krwią. Wtedy o takich niemowlętach mówiono: „niebieskie dzieci”.

Moi rodzice po raz kolejny wrócili do domu bez dziecka i była to dla nich nowa, ciężka próba. Trzy lata i osiem miesięcy później przyszliśmy na świat my: mój brat Serge i ja. Byliśmy jakże oczekiwaną i upragnioną odpowiedzią na ich modlitwy!

Po kilku miesiącach lekarz wykrył u mnie poważną chorobę, diagnoza nie była optymistyczna. Istniało duże prawdopodobieństwo, że z powodu tej choroby szybko umrę. Dla moich rodziców był to cios. Po raz kolejny nieszczęście pukało do ich drzwi.

Siedemnaście miesięcy później, w nocy z 26 na 27 listopada 1967 roku, rodziców obudził mój płacz: mama utuliła mnie w ramionach, ukołysała i położyła do łóżeczka. Nazajutrz rano, gdy się obudziłem, przysłała po mnie, a mojego młodszego brata, który najwyraźniej jeszcze spał, zostawiła. Po jakimś czasie uznała, że Serge śpi zbyt długo, poszła więc po niego. Jakże wielki był jej smutek, gdy odkryła, że mój braciszek leży martwy w swoim białym łóżeczku!

Utrata dziecka musi być dla rodziców czymś niewyobrażalnym. Myślę, że to straszne, i mam nadzieję, że takie doświadczenie nigdy nie stanie się moim udziałem. Kiedy usiłuję sobie wyobrazić, co musieli czuć moi rodzice, na których spadło tyle nieszczęść, myślę, że do ich drzwi pukała rozpacz, a ich wiara została wystawiona na ciężką próbę.

Serge zmarł z powodu tak zwanej nagłej śmierci łóżeczkowej. Prawdopodobnie nocą. Z tego, co mówili moi rodzice, wnoszę, że stało się to w chwili, gdy ja zanosłem się płaczem! Jakbym to przeżył. Kiedy w końcu odważyłem się porozmawiać z mamą na ten temat, odpowiedziała mi, że dla niej i dla taty był to okres wielkiego bólu. Już i tak dużo wycierpieli z powodu problemów z zajęciem w ciąży. Ale utrata kolejnego dziecka to był największy cios, jaki spadł na nich w życiu. Wiele lat później mama wyznała mi, że któregoś wieczoru, po pogrzebie Serge'a, przygotowując posiłek, zalewała się łzami. Nagle zorientowała się, że nie spuszcza z niej wzroku. Spojrzała wtedy na mnie i pomyślała: „Muszę przestać płakać. Jest tu Stephan. Muszę wziąć się w garść i zająć się nim”. I tak moja mama zaczęła wracać do życia.

Dla mojego taty ta droga była o wiele dłuższa. Z tego, co mówiła mama, wynikało, że tata bardziej kochał mojego młodszego brata. Jeśli chodzi o mnie, moją jedyną pamiątką po bracie – nie licząc zdjęć i jego pluszowego misia – jest wspomnienie:

pamiętam, że rączkowałem po całym domu, przeczesałem go i nie ustając w poszukiwaniach. Zaglądałem za meble i pod szafy, ale nie znalazłem mojego brata.

Czy utrata braciszka, znanego w łonie matki od pierwszej chwili poczęcia, może zranić serce małego chłopca? Czy tak małe dziecko może doświadczać osamotnienia? Czy przeżywa głębokie poczucie straty, jakby straciło połowę siebie?

Tak czy inaczej, zostałem jedynakiem: do czasu, kiedy pięć lat i osiem miesięcy później nie narodziła się moja siostra. Miałem wówczas prawie sześć lat.

Moi rodzice z powodu śmierci Serge'a nie chcieli podejmować kolejnych prób powołania nowego życia. Ale pewnego dnia, po głębokim namyśle, poszedłem do mamy i powiedziałem: „Mamusi, bardzo chciałbym mieć młodszą siostrę”. Mama odpowiedziała, że to pragnienie może być bardzo trudne do urzeczywistnienia, i zachęciła mnie, abym pomodlił się do świętego Józefa i poprosił go o pomoc. Obiecała, że ze swej strony porozmawia z tatą. Natychmiast pobiegłem ze swoją prośbą do plastikowej figurki świętego Józefa i po prostu poprosiłem go o młodszą siostrę. Uznałem sprawę za załatwioną, a wkrótce – ku najwyższemu zdumieniu naszego otoczenia – bez najmniejszych problemów na świat przyszła moja siostra.

Słodkie dzieciństwo

Moja rodzina była katolicka i praktykująca. Można powiedzieć, że wiarę wyssałem z mlekiem matki. Moi rodzice dużo się modlili, chodzili do kościoła, ale przede wszystkim starali się żyć wartościami ewangelicznymi. **Modlitwa to jedno – mówili – ale trzeba też pomagać wszystkim, którzy znaleźli się w potrzebie.** Moi rodzice zawsze wprowadzali słowa w życie, a ja uważałem to za szlachetne i piękne.

Wiodłem życie blisko przyrody, wśród zwierząt. Lubiłem spędzać czas w ogrodzie, pielęgnować mamine klomby, podlewać ogród

warzywny ojca, przycinać trawę i myć samochód. Przebywanie na świeżym powietrzu dawało mi radość.

Miałem to szczęście, że w ogrodzie znajdowały się klatki i wolliery z najprzeróżniejszą zwierzyną. Były tam kanarki, różne gatunki papużek i papug, kury, królik i bażanty. Lubiłem opiekować się całą tą menażerią, ale nade wszystko uwielbiałem patrzeć, jak rodzi się życie. Obserwowałem, jak ptaki wiją gniazda, znoszą i wysiadują jajka, a młode wykluwały się niemal na moich oczach. Niejednokrotnie trzeba było pomagać rodzicom w dokarmianiu potomstwa, aby młode mogły dorosnąć, co nie zawsze było sprawą z góry przesądzoną.

Uprawiałem też sport. Lubiłem pływać, grać w nogę, siatkówkę i tenisa. Niestety, była też szkoła. Powiecie: jak mus, to mus! Resztę czasu spędzałem z przyjaciółmi. Miałem ich wielu. Wystarczyło wyjść na ulicę albo iść do parku, żeby kogoś spotkać i dobrze się bawić.

Inną bardzo ważną dla mnie sprawą była modlitwa. Często stawiałem w ogrodzie ołtarzyki dla Matki Bożej albo dla Pana Boga. Lubiłem tam chodzić, żeby się bawić w – jak to nazywałem – „odprawianie mszy”. Były wtedy takie cukierki, tak zwane „hostie”: dwa okrągłe opłatki o średnicy pięciu centymetrów, sklezione ze sobą i wypełnione białym kwaskowym pudrem. Dzięki nim mogłem bawić się w księdza i robić to samo, co on: unosić ten mały biały krążek, który fascynował mnie i intrygował podczas każdej Eucharystii, a następnie zjadać cukierek, który dla mnie przemieniał się w Ciało Jezusa.

Pewnego dnia wpadłem na wspianiały pomysł, aby namalować na drzewie krzyż! A jako że nie znalazłem białej farby, wyciąłem krzyż nożem, usunąłem z wnętrza obrysu korę i w ten sposób uzyskałem piękny biały kształt, o jaki mi chodziło. Następnie ustawiłem przed tym krzyżem plastikową figurkę Matki Bożej z Lourdes, która bardzo pasowała do mojego kącika modlitwy, oraz kwiaty. Wyglądało super! Ale chyba tylko ja jeden byłem tego zdania, bo kiedy moje dzieło zobaczył dziadek, niezłe oberwałem. Na domiar złego dziadek zawyrokował, że drzewko umrze. Zabiłem

drzewko. Byłem przerażony. Na szczęście, ostatecznie drzewo nie obumarło, ale ja dostałem szlaban na urządzenie kącika modlitwy w ogrodzie. Wtedy przeniosłem się do swojego pokoju i tam nadal „odprawiałem mszę”.

Modlitwa rodzinna

Swego czasu moi rodzice, moja siostra i ja codziennie odmawialiśmy różaniec. Pamiętam, że nie bardzo to lubiłem. Klepać w kółko to samo! Mama jednak powtarzała: „To sprawia tak wielką przyjemność Najświętszej Dziewicy...”. Tak więc odmawiałem różaniec, ale myślałem swoje.

Najtrudniejsze dla mnie było to, że nie dość, iż modlitwa różańcowa była nam narzucana, to jeszcze przypadła na czas, kiedy w telewizji puszczano dobranockę! Oczywiście mogliśmy oglądać telewizję w środę po południu*, ale w zasadzie we wszystkie dni tygodnia telewizja nadawała tylko parę minut programu dla dzieci wieczorem. Tymczasem to właśnie tę porę upodobał sobie na modlitwę mój drogi tata, ponieważ zaraz potem (a zatem bezpośrednio po dobranocce) nadawano dziennik. No i oczywiście nie było mowy, aby tata mógł go przegapić czy choćby spóźnić się bodaj minutę. Niekiedy musieliśmy skrać modlitwę, bo zaczynały się wiadomości! A dla taty ta chwila była święta. Rzekłbyś: „Znajdźcie błąd...”.

Doprawdy, to było smutne doświadczenie, które przyniosło więcej szkody niż pożytku. Z perspektywy mogę powiedzieć, że swoją postawą mój tata dawał raczej antyświadekstwo, co na pewno nie pomogło mi w życiu. Wręcz odwrotnie: ten sposób i rodzaj modlitwy skutecznie odstręczał mnie od niej. Bo skoro, jak mawiał tata, modlitwa jest taka ważna, to dlaczego on sam przerywał ją po to, by oglądać telewizję?

Na domiar złego pamiętam, że któregoś wieczoru dostałem niezłą reprimendę. Po powrocie z pielgrzymki do San Damiano

* Środowe popołudnie jest w Belgii porą wolną od zajęć szkolnych (przypis tłumaczki).

we Włoszech moi rodzice postanowili, że po każdym dziesiątku różańca, po słowach „Chwała Ojcu i Synowi”, będziemy odmawiać modlitwę do świętego Michała Archanioła – jak było w zwyczaju w San Damiano. Modlitwa brzmiała: „Święty Michale Archaniele, swoim światłem oświecaj nas! Święty Michale Archaniele, swoimi skrzydłami ochraniaj nas! Święty Michale Archaniele, swoim mieczem broń nas od złego!”. Dla mnie była za trudna i dosłownie łamałem sobie na niej język. Ani ja, ani moja siostra nie umieliśmy jej odmawiać. Ale moja siostra miała wtedy dwa czy trzy lata, więc uchodziło jej to na sucho. Gorzej było ze mną. Jako ośmiolatek nie mogłem liczyć na dyspensę. Nagle, ni z tego, ni z owego, moja mama bardzo się na mnie zezłościła, tylko dlatego, że wciąż się myliłem! W końcu fuknęła: „No wiesz co! Przecież to nie jest trudne! Trzeba tylko powtarzać: Święty Michale Archaniele... Od tej pory masz się nie mylić!”.

Dzisiaj myślę, że mama była zestresowana, bo zbliżał się dzień, na który tata przecież nie mógł się spóźnić. Tymczasem my, a zwłaszcza ja, guzdraliśmy się na modlitwie.

Najbardziej zaskoczył mnie fakt, że to właśnie mama się zirytowała, bo z moją mamą wiążą się tylko dobre wspomnienia. Pamiętam ją jako jedno wielkie serce pełne miłości. **Czy jest rzeczą właściwą modlić się w takich warunkach?** Czy modlitwa jest dobra, jeśli odmawia się ją w stresie i pośpiechu? Tak czy inaczej, jeśli spytalibyście, jaki był wówczas mój wewnętrzny stosunek do modlitwy, odpowiem: nie było aż tak źle! Tym bardziej że w moim wyobrażeniu modlitwa była potrzebna po to, aby uzyskać łaskę Pana Boga, którego ja się bałem!

Innym wydarzeniem, które nastąpiło po naszym powrocie z pielgrzymki do świętego Damiana, była nagła decyzja taty, który usłyszał, że telewizor to narzędzie diabła, więc postanowił się go pozbyć! Pamiętam, że wyniósł go z domu i postawił przy drodze, na kubłach na śmieci. Po dwóch tygodniach mama była tak bardzo znudzona bez telewizora, że powiedziała do taty: „Skoro my nie możemy oglądać wieczorem telewizji, ty nie będziesz od tej pory

chodził na bilard; albo odkupisz telewizor, albo będziesz siedział z nami w domu!”. Za parę dni mieliśmy nowiutki telewizor!

Jak sobie wówczas wyobrażaliśmy Boga? Biedny Pan Bóg.

Aha, była też niedzielna msza, na którą oczywiście musieliśmy chodzić: było to trudne, ponieważ zupełnie nie odpowiadała na potrzeby dzieci czy młodzieży.

Już wtedy miałem dobry słuch i grałem na flecie. Właściwie wszystko potrafiłem zagrać ze słuchu i to niemal za pierwszym razem. Grałem więc w chórze parafialnym Braine-le-Château, dzięki czemu nie musiałem stać z tatą i mogłem rozmawiać z kolegami. A skoro już mówimy o dobrym słuchu, to na myśl przychodzi mi też inne wydarzenie, które raczej mi w życiu nie pomogło.

Szkoła muzyczna

Chodziłem do szkoły muzycznej w Tubize. Miałem dwanaście lat, a lekcje prowadziła tak cudowna, łagodna pani, że aż chciało się uczyć – rzecz u mnie niespotykana. Czy nie do takiego modelu nauczania powinniśmy dążyć?

Wydaje mi się, że skoro naszą misją jest nauczanie, to nadrzędnym celem powinno być łagodne postępowanie i zachęcanie dziecka do nauki. Niekiedy zastanawiam się, czy przypadkiem nie tego właśnie dziś tak bardzo brakuje? Niespiesznego działania, aby dziecko nadążyło zrozumieć – mam wrażenie, że należałoby zmienić system!

Na nieszczęście dla mnie, tamta nauczycielka musiała odejść ze szkoły, ponieważ spodziewała się dziecka. Jako że potrzebne było zastępstwo, zajęła się nami pani dyrektor. Kobieta leciwa, bardzo surowa, twarda i zimna.

Prędko pojąłem, że w szkole muzycznej czeka mnie niełatwa przyszłość. Dyrektorka prowadziła lekcje niczym – że tak powiem – wojskową musztrę. Krzyczała zawsze, gdy zdarzyło się nam pomylić czy zafałszować. Nie znosiła tego, że potrafiłem wszystko zagrać na flecie ze słuchu.

Nie znałem natomiast solfeżu, co doprowadzało ją do pasji i czego nie omieszkala mi wypominać przy każdej okazji.

Po jakichś czterech lekcjach miałem dość. To był koniec moich marzeń o tym, że nauczę się grać na jakimkolwiek innym instrumencie oprócz fletu. Zacząłem więc grać na djembe. Nauczył mnie kolega Afrykanin. Do tego nie potrzeba nut: wystarczy, że czujesz rytm, i jest dobrze.

Kiedy opowiedziałem o wszystkim rodzicom, zgodzili się, abym zrezygnował ze szkoły muzycznej, co przyjąłem jako wyzwolenie. Tata opowiedział mi wówczas o swoich problemach z muzyką. Śmieszna sprawa. W dzieciństwie należał do chóru. Ale nie po to, aby śpiewać – bo tylko poruszał ustami – tylko po to, aby być z kolegami.

Wyznał mi, że któregoś razu dostał od proboszcza z liścia za fałszowanie (tak między nami, mojemu ojcu rzeczywiście słoń na ucho nadepnął!). Ale najgorsze było to, że nie mógł zaprotestować i wyjaśnić proboszczowi, że nie fałszował z tej prostej przyczyny, iż nie śpiewał, a tylko poruszał ustami. Znając proboszcza, wtedy po raz drugi by oberwał!

Wielu dorosłych po dziś dzień nosi rany lub urazy z powodu takiego traktowania w dzieciństwie.

Ja sam zadaję sobie pytanie: Jak sprawić, aby człowiek odkrył drzemający w nim skarb? I jak pomóc mu w rozwijaniu talentu, nie zniechęcając go przy tym i nie raniąc?

Często przebywałem z młodymi ludźmi. Czasami miałem szczęście towarzyszyć im, odkrywać w nich dar... Zawsze to było prawdziwe szczęście: dla młodego, bo odkrył dar w sobie, i dla mnie, bo przy tym byłem.

Jedenaście lat. Powołany po raz pierwszy

Pewnego dnia na szkolnym boisku po raz pierwszy usłyszałem w sobie powołanie, aby oddać życie Bogu. Bardzo się przeraziłem! Zupełnie jakby ktoś wylał mi na głowę kubek zimnej wody. Nagle,

w samym środku przerwy, usłyszałem głos, który zapytał mnie po prostu: „Czy chcesz oddać swoje życie Bogu?”.

W pierwszej chwili pomyślałem: „Oddać życie Bogu? Nie! Nie chcę umierać!”. Odpowiedziałem więc „nie”. Wówczas głos zapytał: „Kiedy będziesz gotów?”. „Za piętnaście lat” – wypaliłem bez namysłu. Głos zniknął tak samo nagle, jak się pojawił.

Trochę mnie to zaniepokoiło, ale byłem dzieckiem i szybko sklasyfikowałem tamto wydarzenie jako „nieistotne”.

Małe świadectwo, wielki skutek

Podczas jednej z tych długich, nudnych i jakże monottonnych mszy w naszej parafii doszło do niecodziennego wydarzenia. Podczas kazania na ambonę wstąpił młody człowiek i opowiedział o swoim życiu. Właśnie wrócił z dalekiego, ubogiego kraju, w którym był misjonarzem. Z wielką radością opowiadał nam o swojej pracy wśród najuboższych, a jego oczy emanowały czymś, czego nigdy wcześniej nie widziałem: był szczęśliwy, to było widać. Gdy tylko skończył mówić, spojrzałem na rodziców i powiedziałem: „To jest to. **To będę robić, gdy dorosnę! Chcę pomagać ubogim w dalekich krajach**”.

Mój ojciec spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem. „Ty miałbyś wyjechać gdzieś daleko? Przecież cały czas kurczowo się trzymasz matczynej spódnicy!”. Jego słowa bardzo mnie zabolowały, a wraz z nimi pojawiło się we mnie poczucie „jestem zerem”. Wtedy mama spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem. To dodało mi otuchy. Ale w głębi duszy czułem się smutny i ponizony.

Dziś sam mam czworo dzieci i powiem wam, że jeśli ktoś z nich kiedykolwiek powie mi: „Tato, chcę być misjonarzem”, będę z tego powodu bardzo szczęśliwy. Bo dla mnie najważniejsze jest to, aby moje dzieci mogły realizować swoje powołanie. Aby zrobiły ze swoim życiem to, co chcą z nim zrobić. Jeśli w małżeństwie i rodzinie – to dobrze. Jeśli w zakonie – to dobrze. Jeśli w służbie ubogim – to dobrze. Jeśli w korporacji – też dobrze. Najważniejsze, aby robiły nie to, czego ja chcę, lecz to, co je

uszcześliwi. A ja będę się starał być zawsze przy nich, aby je wspierać. Moim zdaniem, bycie rodzicem to przyjęcie misji kochania swoich dzieci, prowadzenia ich i wspierania na drodze życia, aż staną się samodzielne, wolne i szczęśliwe.

Myślę też, że nigdy nie należy się śmiać z dziecka, dlatego że jeśli ono wie, czego chce, to trzeba mu przynajmniej pozwolić spróbować. A jeśli nie daje rady, nie mamy prawa wyśmiewać go czy z niego drwić. Lepiej próbować żyć marzeniami niż marzyć o życiu!

Patrząc wstecz, mogę stwierdzić, że żyłem wówczas w miłym, bezpiecznym, przyjemnym kokonie, jaki dawała mi świadomość dorastania w stabilnej rodzinie, z dwojgiem kochających się rodziców. Podobało mi się, że mieliśmy ogród, w którym mogłem się bawić, uprawiać sport, zajmować się zwierzętami. Drzwi domu zawsze stały otworem dla moich kolegów i to też było dobre. **Ale zacząłem dorastać i z czasem kokon wydał mi się zbyt katolicki, zbyt krępujący.** Zaczęłem też zauważać, że nasz sposób życia nie zawsze był spójny z tym, co głosili mieniący się chrześcijanami rodzice. Porównując ich postępowanie z orędziem miłości głoszonym na mszy i wyłaniającym się z lektury Pisma Świętego, uświadomiłem sobie, że wszystko sprowadzało się do zasady: „Co wolno, a czego nie wolno”. Prawo. Twarde i surowe prawo. Bez miłości!

Coraz bardziej bolał mnie ten rozdźwięk, coraz bardziej doskwierały twarde reguły. W takim sposobie bycia nie znajdowałem wolności i szczęścia. Zateęskniłem za czymś innym.

Tytuł oryginału: *Trois minutes pour la vie. Du hard rock à Jésus Christ*

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Blanka Tomaszewska

Zdjęcia: Oleg Palchyk

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

O ile nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne za: Biblia Poznańska, 2009.

© Editions des Beatitudes. S.O.C., 2014

© for the Polish edition by Drukarnia i Księgarnia Świętego Wojciecha Sp. z o.o., Poznań 2015

ISBN 978-83-7516-801-3

Wydawca:

Drukarnia i Księgarnia Świętego Wojciecha Sp. z o.o.

Wydawnictwo Święty Wojciech

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • zamowienia@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Druk i oprawa: Abedik SA